№. 10.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1843. Poznań, dnia 10. Maja.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

My położyliśmy sobie za zasadę, jakąś uwagę zastósowaną do życia na początku każdego numeru Dziennika zamieścić. Uwagi te mogłyby łatwo być poczytane za nowe projekta. Jakkolwiek nikt bardziéj nad nas niema na sercu postępu, to musimy przyznać, iż fabrykanci projektów już pewną ckliwość sprawują. Pomysły wszelkie albo się dadzą albo niedadzą zastósować: pomysł niewykonalny jest niczém, azatém ludzie pomysłów, wtedy tylko zasługują na wdzięczność i wtedy mają prawdziwą zasługę, skoro swoje pomysły wprowadzą w życie i cieszą się ich owocami.

Pisarze niegłębocy, a lubiący się trudnić krytyką, mówią, że to jest wadą Polaków, robić projekta, a nigdy ich nie wykonywać. Te słowa, to jest wada Polaków, alboli Francuzów, Niemców i t. d. dla myślącego głębiéj są bez myśli. Wszystkich narodów ludzie mają jednakową krew, jednakowe kości, jednakowe ciało. Mało dzieje się w czynach narodów z ich odłącznéj fizyczności, ale bardzo wiele się dzieje z ich odłącznych stósunków. Kiedy my się zapytamy, dla czego Polacy zawsze wiele rzucali pomysłów, a mało ich wprawiali w wykonanie, to musimy na to odpowiedzieć: bo ich stósunki bardziéj do myśli, niż do jéj wykonania nakłaniały. Tu przyjdzie zaraz pytanie, jakież to więc były te stósunki, a tu trzeba będzie odpowiedzieć: to tylko jasne pojęcie przeszłości dziejów ojczystych objaśnić może.

Były jednakże czasy i w Polsce, gdzie daleko więcéj działano, aniżeli tonem professorskim prawiono. Teraz prawda, że nasz czas obfitszy w projekta i w rozprawy, niż w wielkie dzieła i ludzi czynu, ale to jest w całym cywilizowanym świecie. Dawny porządek pęknął w życiu domowém, polityczném, w kościele. Harmonia, co wszystkie łączyła pojęcia, całkiém ze świata znikła, a myśl i żądza harmonii pozostała. Ludzie dziś na indywidualne zdania porozstrzelani, chcą swoje pomysły w jednę myśl ogólną związać — ale ta myśl nie jest jasna, trzeba ją dopiero odkryć i dla tego jéj wszyscy szukają, a to szukanie jest rojeniem, i dla tego tyle fabrykantów projektowych. — Przynajmniéj Polacy teraz już bliźsi zharmonizowania swych myśli, niż inne narody, bo przynajmniéj wiedzą, czego chcą; przynajmniéj mogą powiedzieć: nam wszystkim trzeba tego. Rozstrzelenie atoli ich zdań polega jeszcze tylko na pytaniu w jaki sposób. To pytanie dotychczas nierozstrzygnięte, ale czas wszystkiego dokazać potrafi. Są atoli zasady, o które ludzie nie mogą już toczyć sporów, że tu np. wymienię: prawda jest zawsze pożyteczną, albo: znosić cierpienia z drugich, jest to dobre robić. Wszelkie więc projekta, które mają na celu prawdę i podniesienie ludzkości, te podobno nie potrzebują głębokich wywodów; najlepiéj będzie od razu je w życie wprowadzać. Dla tego tych wszystkich, co robią tylko projekta, wzywamy, aby sobie jeden obrali, który za najważniejszy uważają, i aby się starali rozszerzyć go i w życie wprowadzić. Niech nie robią projektów, w których wykonanie sami niewierzą, ale tylko takie, które muszą się wszystkiem podobać, które mają coś rzeczywiście ważnego, które wreszcie są proste i każdemu zrozumiałe. Nie potrzebują ich szeroko rozwijać. Jeden u nas projekt zupełnie ogólnego interessu, był ten co dał życie Towarzystwu Naukowéj Pomocy, i to też idzie i pójdzie.

Mnóstwo zdarza się projektów prześlicznych z formy, ale są bez osnowy i dla tego kończą się zwykle na zredagowaniu statutów.

OJCIEC CYRYL profesem.

Powiastka osnuta na tle prawdziwego zdarzenia

przez

B. F.

(Ciąg dalszy.)

10.

Nadszedł nakoniec dzień wyruszenia na wojnę. Panowie Zbyszewscy z czeladzią, pakują na wozy, skrzynie, kobierce, niedźwiedzie i wilcze skóry, siodła, zbroje, pistolety i samopały, a ze skarbcu jejmości taką ilość sucharów, wędlin, gorzałki, i innych potrzeb do życia, że stu ludzi przez rok ledwieby to zdołało spożyć, a ich poczet bodaj z czterdziestu ludzi się składał. Lecz pani Zbyszewska wiedziała, że pod Smoleńsk daleko, i nie klucznica będzie jadło wydawała.

Rotmistrz, a nawet i rozkochany Janek z radością spoglądali na te przygotowania, bo obóz dla ówczesnych Polaków był salą balową, na któréj przy haku armat popisywali się ze swoją zręcznością — tam też zrywali kwiaty swego życia. Dla tego serca starców silniéj uderzały na myśl wojny bo do wspomnień lat młodzieńczych, zawsze w ich wyobraźni mieszał się szczęk broni.

Przed samém wyruszeniem pod chorągiew, gdzie się całe województwo zbierało, panowie Zbyszewscy z pocztem wojennym klęcząc przed ołtarzem słuchali mszy świętéj, a po jéj ukończeniu przystąpili do komunii. Potém rotmistrz z Jankiem, i co było rycerskiego stanu, posunęli się na pierwsze stopnie ołtarza, a czeladź pozostała na miejscu, kapłan odmawiał modlitwę nad klęczącymi, zawieszał im na szyję relikwie lub obrazki świętych, dawał patynę do całowania, i kropił święconą wodą.

Była to chwila uroczysta — rozrzewniająca, gdyż z kościoła prosto na koń wsiadali. Żony, matki, córki, i siostry odjeżdżających, głośno zaszlochały, i po męzkich licach łzy płynęły.

Po odbytéj ceremonii spiesznie wychodzili z kościoła, żeby pozostałym i sobie żalu oszczędzić. Ku wychodzącemu Jankowi jeszcze matka wyciągnęła dłonie. Młodzieniec ukląkł, a ona go ręką i myślą błogosławiła, bo z piersi ściśniętych boleścią żadnego słowa wydobyć nie zdołała. Lecz gdy się podniósł i oddalał z kościoła, z rezygnacyą przewyższającą boleść, za nim spoglądała, bo miłość Rzeczypospolitéj było to uczucie głębokie, poważne, które poświęcenie się dla kraju, zamieniło w rzecz zwyczajną — codzienną.

Po wielu dopiero latach przygasł ten płomień, lecz się znów zbudził po gwałtownych wstrząśnieniach narodu i rozpromienił, jakby w namiętną miłość kochanków, która w styranych nieszczęściami duszach, po każdéj przeciwności, tém silniéj i rozciągléj wszystko ogarnia.

11.

W pierwszych dniach Grudnia, profesowie jezuiccy zasiedli na zwyczajną radę, którą co ćwierć roku odbywali. Tą razą senior zajął drugie miejsce, bo prowincyał koronnych jezuitów przewodniczył zgromadzeniu.

Po krótkiéj przemowie zagajającéj posiedzenie, wezwano księdza rektora. Ten zająwszy miejsce rozwinął spory zwój papierów, i czytał w krótkości raport postępowania w ostatnich trzech miesiącach każdego z kleryków, a senior pod okiem prowincyała zapisywał treść w księgę. Potém przeszedł rektor do uczniów świeckich, a nad każdego nazwiskiem, które pierwszy raz wchodziło do księgi, kładziono znak czarny lub czerwony.

Ukończywszy z rektorem zwoływano pojedyńczo księży koadjutorów, których przeznaczeniem było, wciskać się w domy bogatszéj szlachty i mieszczanów, jako kapelani lub spowiednicy, a niekiedy, z prostym tytułem przyjaciół. Lecz pominiemy wszystkich, a zatrzymamy się tylko nad znajomym nam ojcem Cyrylem.

Przebiegł on w krótkości stosunki rodzin poleconych jego czuwaniu, zatrzymując się najdłużéj nad Jankiem Zbyszewskim, jako najważniejszą osobą w bieżących okolicznościach. Nie pominął żadnego o nim szczegółu, nawet jego miłości ze starościanką.

Prowincyał dla lepszego objaśnienia, rozkazał odczytać życie młodzieńca. Potém przytomni słuchali z uwagą karakterystyki rodzin Zbyszewskich i starostwa Rebińskich, kreślonéj przez ojca Cyryla témi słowy:

„Starosta uporny i zatwardziały Polak — ojczyzna u niego przedewszystkiém. — Żona jego

słaba jak trzcina niewiasta, da się ustraszyć piekłem. — Córka lubo w pokorze wychowana, jednak uporna, gdyż na dworze wojewodziny kaliskiéj rosła panią swéj woli, bo jak to zawsze bywa, ochmistrzyni dawała we wszystkiém pogładę posażnéj starościance. Pani Zbyszewska śmiała i zaradna białogłowa, nie przyjazna nam, jak wam wiadomo ojcowie."

Po tych słowach westchnął i kończył daléj: „Rotmistrz żyjąc w obozach, nasiąkł duchem kacerstwa — herezyi. Był to jeden z największych naszych nieprzyjaciół, ale prawdziwa łaska boska nie dała mu innéj mocy tylko siłę miecza."

I znowu westchnął, a senior głos zabrał.

„Nie drobnéj to wagi, rzecz kogo ma zaślubić starościanka Rebińska. Źleby było, gdyby Janek Zbyszewski ją dostał, bo wtedy z obszerną koligacyą, pięknym majątkiem, i wysokim rozumem, niktby nie zdołał zagrodzić mu drogi do pierwszych w kraju godności."

Prowincyał i całe posiedzenie uznało słuszność słów seniora, i przystąpiono do narad, po których dano koadjutorowi Cyrylowi taką instrukcyą — opanować starościnę, starać się przed powrotem męża z wojny, wydać córkę za człowieka przychylnego towarzystwu Jezusowemu, a gdyby się to nie dało, zrobić ją zakonnicą.

Ojciec Cyryl z pokorą wysłuchał poleceń: najmniejsze zadziwienie nie wybiło na twarz jego, nie wyrzekł bynajmniéj słowa: to niepodobne, lub trudne do spełnienia, ale pożegnawszy zgromadzenie niskim pokłonem, wyszedł.

A prowincyał podał listy sieniorowi, który je czytał głośno.

Jeden z nich był od spowiednika królewskiego Justa Raaba téj treści:

„Dnia 20. Novembris zasłyszałem, że pan starosta Rebiński przychylny skrycie herezyi, ciągnąc ku obozowi, krząta się koło osierociałéj kasztelanii poznańskiéj. Przez cały dzień nie wypadło mi o tém mówić z królem jegomością, i przedstawić mu na tę godność którego z naszych ludzi. Panowie Rozrażewski i Tomicki zdawali mi się najgodniejszymi. Ten pierwszy ofiarował na dobro towarzystwa Jezusowego dwa tysiące czerwonych złotych, kiedy pan Tomicki przyobiecał wioskę, przynoszącą rocznie najmniéj trzy tysiące; zająłem się więc szczerzéj interessem tego ostatniego. Po dziewiątéj na pół zegara, udałem się do króla jegomości, gdzie mię bez trudności wpuścił pan Andrzéj Bobola (muszę na pochwałę tego królewskiego podkomorzego powiedzieć, żeśmy się na jego wyborze nie zawiedli.) Pomówiłem z królem jegomością, o panu Tomickim, i dziś już mu dyplom na kasztelanią doręczono."

Drugi list był ojca Bernarda pisany z pod Smoleńska, lecz temu nie szło tak pomyśli, jak pierwszemu. Uskarzał się na królewicza, że go od rad usuwa, a jeżeli go przy sobie cierpi, to na wyraźny rozkaz króla, bo milsze królewiczowi rady, pół-kacerza rotmistrza Zbyszewskiego i jemu podobnych. Potém następowały uwagi téj osnowy:

„Rozumiałbym, że lepiéjby było porzucić tę wojnę, bo ona zajmuje całą myśl panów nam przychylnych, a wskazać prawdziwego nieprzyjaciela na łonie Rzeczypospolitéj to jest schizmatyków. Teraz w obozie przekonywam się dopiero, iż nam są wielką zawadą, i tak długo Polski nie możemy nazwać naszą, dopokąd tego kacerstwa nie przytłumiemy."

Po ukończeniu tych listów, wziął się senior do pisania, skreślił krótko jednak jasno, stan Polski i zgromadzenia — odczytał głośno, a prowincyał i profesowie podpisali. Potém zapieczętował trzema pieczęciami i zaadresował: „Do ojca jenerała w Rzymie," a prowincyał zakończył posiedzenie témi słowy:

„Mili bracia! Pamiętajcie, że żyjemy w Polsce, gdzie miłość ojczyzny i braterstwo szlachty, stawiają silną zaporę naszym celom. Podkopujcie więc starannie to oboje, wbijając sobie w pamięć: że cel uświęca sposoby. Działajcie stósownie do waszego wysokiego przeznaczenia, ale bądźcie przezorni w narażaniu towarzystwa, i używajcie w waszych czynnościach sprężyn, tak odległych, żeby nikt ich początku nieodgadł; jeszcze czas jawnego działania nie nadszedł, jeszcze władza nasza na chwiejących podstawach."

„Bądźcie więc ulegli i grzeczni, unikajcie nawet cieniu wyniosłości. Mniejsze skrupuły sumienia usuwajcie na bok, bo te przed szeroko zakreślonemi planami znikać muszą. Mniéj skłonnych do modłów uwalniajcie od tego, bo naszym celem nie odmawiać pacierze, ale rządzić. Miłość ojczyzny, gdyby się miała ozwać w sercach waszych, wyrywajcie jako naganne, bo cóż nam do tego, jak się ten lud nazywa, jakim językiem mówi, co ten kawał ziemi zamieszkuje — ona nigdy bezludną nie zostanie."

„Nakoniec wszystkie starania wytężajcie w osiągnięciu władzy, a skoro ją raz pochwycimy, piekło, gdyby było, nie wydarłoby nam jéj z ręku."

Po téj przemowie zgromadzenie się rozeszło, a w każdym z członków tém silniéj ozwało się

przekonanie, że świat jest na to, żeby jezuici nim rządzili. I dumni byli z tego wysokiego przeznaczenia, uważając siebie jako wyższe istoty, a całą ludzkość za narzędzie dla nich potrzebne.

12.

W Orli pusto i smutno. — Listy od pana starosty rzadko przychodziły, i to nie zaraz po napisaniu, boć wiele rąk musiały przejść i za okazyami oczekiwać, nim się dostały w przeznaczone miejsce. Ojciec Cyryl prawie tu na dobre od kilku tygodni zamieszkał. Dla panien był grzeczny, nawet uprzejmy — tajemniczego pożegnania z Jankiém i jestem nie przypomniał, a jego rozmowa płynna i kwiecista, musiała się każdéj kobiecie podobać. Nie przykrzył im się téż wcale pobyt jezuity.

Panią starościnę zaś co dzień bardziéj podbijał, potakując niby we wszystkiém, a skłonność do modłów tak w niéj budził, iż się to stało jedyném jéj zatrudnieniem. Czytywał on jéj lub opowiadał o okropnych katuszach piekielnych za najdrobniejsze niedopełnienie przepisów kościoła, — za zaślubienie swego dziecięcia z bezbożnikami — za przestawanie nawet z takim człowiekiem, a bojaźliwa wyobraźnia niewiasty wszystko to odbijała w żywych barwach.

Czasem znów tak powabnie umiał malować życie klasztorne, tak pewne szczęście w wieczności wypływające z niego, że w sercu słuchającéj prawdziwą tęsknotę budził za takiém życiem.

Daléj ośmielił się wspominać Janka jako zepsutego młodzieńca, a stopniami umiał go ubrać w suknią prawdziwego szatana, co tém łatwiejsze było, że sam postępek rzucenia kleryczéj sutanny, zawsze starościnę zgrozą przejmował. Z kolei nadmieniał o przyszłém połączeniu młodzieńca z Krystyną, a te słowa zawsze wywołały chmury na czoło niewiasty. Jezuita zdawał się tego nie dostrzegać, i jeszcze częściéj powtarzał, a wiedział: że przestraszając umysł bez woli, jest jedyny sposób obudzać w nim upor. Przy takiéj rozmowie starościna zawsze wzdychała, lecz nic nie odrzekła. Jezuita, widząc ją już przysposobioną jak należy pomyślał „teraz czas“ i wyruszył z Orli.

13.

Mróz był dobry, wiatr zdmuchiwał śnieg na kupy, i równał z płotami, kiedy ojciec Cyryl zajechał przed duży dwór szlachecki.

W ciężkiéj wilczurze stoczył się z sanek, i wszedł do bawialnéj izby, w któréj siedział pod kominem, już nie pierwszéj młodości mężczyzna, zmykając paciorki różańca. Powitali się serdecznie, a jezuita po rozgoszczeniu rzekł do gospodarza.

„Widzę panie podkomorzycu, że wszystkiego u was dostatek.“

„Mam z łaski bożéj na potrzebę, a to mnie najbardziéj raduje, że mogę godnie przyjąć łaskawców zaszczycających mój domek.“

„Mogłoby się to wszystko pomnożyć w dwójnasób, ba i więcéj, byleście tylko chcieli.“

„A któżby odrzucał dary boże; gdyby był większy dostatek, oddałoby się więcéj i dla was ojcowie. Teraz choć jest i wola po temu, ledwie te liche sto czerwonych złotych od potrzeb zbywa.“

„I grosz ubogiéj wdowy był mile przyjęty, bo dany z serca, i wasze sto czerwonych złotych oddane na pożytek sług kościoła, nie zostaną bez nagrody w wieczności.“

„Mówiliście ojcze o pomnożeniu dostatków, czybyście wiedzieli dla mnie gdzie posażną żonę?

I pogładził żółte wąsy, i badawczo zaglądał jezuicie w oczy.

„Wy moje myśli zgadujecie panie podkomorzycu“ odrzekł ten z uśmiechem. „Wiem ci ja jednę którąbyście łacno dostali.“

Podkomorzyc z wrastającą ciekawością przysunął stołek do jezuity mówiąc:

„Słucham was ojcze!“

„A gdybym wam pokazał, młodą i gładką dzieweczkę, posag nie lada — i koligatkę?“

„Takiéj bym nie dostał“ odparł potrząsnąwszy głową.

„To moja rzecz, byle się waszmość chciał żenić.“

„Chcę! chcę!“ — mówił spiesznie — „ale czy to podobieństwo?“

Bo waszmość własnemu szczęściu nie wierzysz. Oto możecie się żenić ze starościanką Rebińską.“

„Ze starościanką Rebińską?“ — powtórzył zdziwiony, i znów ciekawe oczy zwrócił ku mówiącemu:

„Waszmość nie myślał przyimując pasek Maryi, że ten nietylko wieczne ale i doczesne szczęście wam gotuje. Starościna chce mieć koniecznie zięcia Sodalisa Mariana; zasłyszała o waszéj pobożności, i okazała się gotową oddać waszmości rękę swéj córki.“

Podkomorzyc się zamyślił, widać, że nie zaufał słowom jezuity, bo jego twarz nie wybiła radością; zapytał się nawet wahającym głosem: „A panna?“

„Któż się o to będzie pytał; choć się i podróży — to tém milsza bo kosztowniejsza.“

„Macie prawdę ojcze!“ odrzekł zalotnik z uśmiechem — „byle pani matka zezwoliła, to każde dziewczę rade czepiec przywdziać.“

Teraz podkomorzyc zaczął przebiegać w myśli wszystkie rzędy na konie, i barwy dla pachołków, czy są w należytym stanie, bo nie od dziś poczynał rzemiosło zalotnicze. Już to z okładem piętnaście lat temu, jak pierwszy raz pomyślał o żonie, a od tego czasu, wszystkie panny okoliczne, ledwie podrosły, przechodziły przez jego zaloty, jakby przez chrzest. Nadaremnie jednak były te wszystkie starania, choć majątek miał niezgorszy i uroda nie ostatnia, ale cóż — kiedy oprócz ładnych koni na których zajeżdżał, troskliwie wyczyszczonych rzędów, bez plamki kontusza, i zawsze starannie zawiązanego pasa, nie miał innych osobistych wdzięków, i zalet. A w owych wiekach rodzice upatrywali dla córek mężów, którzyby im zjednali poważanie między ludźmi. Podkomorzyc zaś zestarzał się z tytułem ojcowskim, nie mógł się własnego dorobić, a tytuł rzecz nielada dla żony, bo bez niego trzeba było wszędzie ostatnie miejsce zajmować.

14.

Ojciec Cyryl od podkomorzyca znów wrócił do Orli. Chociaż już późno było przyszedł jednak powitać panie, a pomówiwszy tylko kilka słów ze starościanką na stronie, udał się na spoczynek. Drugiego dnia jeszcze szaro było, a panny już spieszyły do kościoła, bo klecha po trzeci raz sygnował. Śnieg styczniowy skrzypiał pod ich prędkim biegiem, a głośna rozmowa uprzedzała każdego, że nadchodzą. Przebiegły fortkę smętarza, spiesznie weszły do kruchty, nie widząc, że ojciec Cyryl przytulony do dzwonnicy, uważał pilnie czy są wszystkie, a potém szedł spiesznie ku dworowi.

W bawialnéj komnacie już zastał starościnę siedzącą przed kominem, a stołek postawiony na przeciw jéj siedzenia pokazywał, że go czekała.

„Bóg wam zapłać mościwa pani, żeście gotowi mię posłuchać“ rzekł z pokorą.

„I cóż mi macie do powiedzenia ojcze!“

„Myślę nad stratą duszy waszego dziecięcia, jeżeliby miała zaślubić tego kacerza Janka Zbyszewskiego,“ odrzekł z westchnieniem. „A dzień za dniem płynie, z wiosną pewnie i z wojny wróci.“ — I utkwił oczy w twarzy starościny, — lecz ta milczała, choć jéj lica oblały się smutkiem.

„Wy milczycie mościwa pani, kiedy idzie o potępienie wieczne waszéj córki, i kiedy wam saméj przyjdzie z tego zdać ciężki rachunek przed Bogiem.“

„Cóż począć ojcze?“ — zapytała zafrasowana.

„A gdyby przyjechał po rękę waszéj córki człek zacny z ojca i ze siebie, z kawałem własnéj ziemi, a nadewszystko pobożny — nawet Sodalis Marianus?“

„Wszystko to nadaremnie“ — odparła z wzrastającym smutkiem.

„Wrzucacie więc dobrowolnie duszę waszego dziecięcia w otchłań piekielną, oddając w małżeństwo kacerzowi, i tak już oziębłą w praktykach nabożeństwa i przesiąkłą mamoną świata. Niewiasto! niewiasto! upamiętaj się póki czas, póki złe duchy nie mają jeszcze przystępu do dusz waszych.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — W litografii *Kurnatowskiego* wyszły dwa obrazy pod względem kompozycyi i wykończenia wybornie wykonane, przynoszące zaszczyt instytutowi, który w prowincyi naszéj nie pod najlepszemi wróżbami założony, z braku estetycznego u nas ukształcenia, już w samych początkach stawa na równi z lepszemi litografiami po stolicach Niemiec. — Obraz pierwszy jest kopią litograficzną obrazu olejnego Romana Postępskiego, któryśmy w roku zeszłym widzieli na wystawie w bazarze. Przedstawia więźnia politycznego, w chwili, kiedy go krępują i wyprowadzają na exekucyą wyroku śmierci. Dzieło to Postępskiego było już należycie ocenione. Wszystkie jego zalety w litograficznéj kopii wiernie są oddane. — Drugi obraz przenosi nas z miejsca i widoku haniebnéj choć nie hańbiącéj śmierci na pole sławy, z epoki cierpień i męczeństwa cofa wstecz o lat dziesiątek w epokę swobody krótkiéj i wojennego zapału. Placówka dziarskich Krakusów roztaszowała się pod szałasem w krańcu lasu; ogień obożny płonie i kłęby dymu wije i dziwnie odbija się od świtania porankowego, co z bladym księżycem ćmę nocną szarym brzaskiem rozpędza. W dali widać na wschód u krańca horyzontu różanne zaranie, i w tę stronę na gołaźnią wystawione czaty. Środkiem stoi żyd szpieg w konwulsyach strachu śmierci. Krakus co dopiero go przyprowadził, a oficer rozłożony pod szałasem z innymi towarzyszami broni, wskazuje na dokument zdrady, na listy przy żydzie znalezione. Całe zgrupowanie osób przedziwne, a rozmaitość światła nową

sztuką litograficzną oddana, dziwnie piękny przedstawia widok. — Cena obydwóch obrazów pomierna.

— Pan Felicyan Abdon Wolski, nauczyciel przy szkole wyższéj i przy kolegium królowéj w Glasgowie, wydał już trzeci poszyt Rozmaitości Szkockich. Ponieważ dwa pierwsze nie wyszły jeszcze z cenzury ani w Poznaniu ani w Warszawie, i redaktor nie wie, jak pójdą, przeto oświadcza, że przy niepomyślnym skutku, poszyt trzeci będzie już ostatnim. Powiada on, że upadkowi tego pisma sam tylko będzie winien, bo mu wszyscy radzili, aby go nie wydawał. „Jeden mi mówił — są słowa redaktora — *daj pokój, oni dla czytania Rozmaitości faraona nie rzucą.* Drugiemu się zdawało, że aby krajowi się podobać, trzeba nawet wielbić wady narodowe. Pan Jan narzekał na krytyczne czasy i kończył kazanie *à peu près* w ten sposób: *proszę, kto będzie tak dziecinnym, płacić sześć talarów rocznie za twe pisemko, kiedy za te same pieniądze może mieć dwie butelki najlepszego dziś szampana.* Nawet pan Dr. Bowring, członek parlamentu, tłumacz Mickiewicza, pisał do redaktora: *uważałbym się za szczęśliwego, gdyby mi było wolno tuszyć, że pisemko pańskie powiedzie się tak, jak zasługuje: ale obawiam się, iż nie znajdziesz pan dosyć czytelników w Słowiańszczyznie.*“ — Pisemko pana Wolskiego nie jest złe, ale ma znaczne wady, które mu szkodzić muszą. Przebija w niém bardzo często uczucie, że redaktor jest orzeł, który się wzbija u obłoków nad polskim ślimaczym narodem. Polacy atoli wiedzą, że ich Europa dziś umie cenić, azatém nie będą sobie wiele robili z nagan niezasłużonych, choć też przy szkole wyższéj i przy kolegium królowéj w Glasgowie. W jednym z poszytów czytaliśmy recenzyą poezyj Bohdana Zalewskiego. Szanowny recenzent złożył tam egzamin, że nie pojmuje poezyi i że nie umie zachować nawet zwykłéj grzeczności dla człowieka, co jest zaszczytem narodu — dla którego charakteru i zasług wszyscy znają uszanowanie. Naród polski nie jest angielskim ani fraucuzkim, ale pisma, co odpowiedziały czasowi i potrzebie, miewały po kilka tysięcy prenumeratorów. Jeżeli więc Rozmaitości Szkockie nie pójdą, wtedy trzeba się będzie domyślać, że na to nie zasługują — lubo my ich tak niekorzystnie nie uważamy, aby iść niemiały, byle tylko czekały czasu, bo wszelki początek trudny: stoi zdanie po elementarzach.

Co do formy jest w tém już niejakie uchybienie, że Rozmaitości Szkockie w 3cim poszycie złożone z 4ch arkuszy, mają aż dwanaście artykułów, z których połowa tylko w części zamieszczone. Czytelnik zaś pisma czasowego bardzo nielubi tych słów: *dalszy ciąg nastąpi.* Polacy dzisiaj są pod kilku rządami — jeżeli im się daje rzecz czysto-narodowa, wtedy podoba się wszystkim — toć mamy przykład z rozpowszechnienia dzieł Mickiewicza, Goszczyńskiego, Zaleskiego i wielu innych — jeżeli im się zaś daje rzecz obca, a z tém uwzględnieniem, żeby przeszła wszystkie cenzury, natenczas nie znajdują w niéj interesu. Kto się do kilku cenzur chce zastósować i cenzur najpółnocniejszéj Europy, ten niewątpliwie blade pismo musi przynosić. W piśmie peryodycznèm uwagi ortograficzne nad głoskami *i, j, y,* nie mogą się podobać, bo grammatyka jest rzecz wyłącznie do szkoły należąca.

W „Rozmaitościach Szkockich“ najgłówniéj nas obchodzą Wyjątki z listów z Poznańskiego. Są to postrzeżenia, które sam autor zebrał w czasie pobytu w mieście naszém podczas zjazdu Świętojańskiego jeszcze w roku 1841. Gani zapał (który był bardzo wyjątkowy) dla wyścigów konnych: powiada, że w Anglii przez wyścigi poprawiła się rasa koni, a znikczemniała rasa ludzi i dodaje: „Czyż niema już w téj chwili w księstwie młodzieży, co zamiast z ludźmi obcuje z końmi, co zamiast kształcenia się na myślących obywateli, kształci się widocznie na forysiów i masztalerzy, co zamiast niesienia pomocy cierpiącym braciom, trwoni pieniądze na zakłady?“ To bardzo pięknie powiedziane, ale czemuż zaraz potém autor listów paraduje ze swoją osobistością i donosi, że na wyścigi nikt go nie zabrał, jak na jakiś podwieczorek (podobno w Szelągu) — i musiał wziąść extrapocztę. Powiada w innèm miejscu, że go na obiady nie zapraszano, a wizyt prawie wcale nie oddawał. Przecie, że kto przyjedzie z Anglii, to jeszcze nie wynika potrzeba, żeby naród go łapał i robił mu honory. Jechać dziś do Anglii, to w całéj Europie rzecz codzienna i pospolita. Śmieje się autor, że kurtka jednego jockeya bardzo nie po angielsku była zrobiona. — Od wyścigów konnych przenosi się z uwagami na historyą w tych słowach: „jedną z głównych gałęzi w Poznańskiém są tak nazwani historycy. Ludzie ci chorują wyraźnie na historyą.“ Daléj powiada: „w nagrodę za cierpliwość wezmę Cię na prelekcyą historyi. Żałuję tylko, że i tutaj będziesz potrzebował cierpliwości — nawet więcéj może, niżeli rzeczywiści słuchacze, którzy, gdy się znudzą, mają przynajmniéj czém sobie czas zabić. Pełno ładnych dziewcząt. Jedyna to wystawa sztuk pięknych, która przynosi zaszczyt księstwu. Dziewczęta te przychodzą regularnie na prelekcyą, ale w ciągu uczonéj rozprawy, myślą sobie o czémsić mniéj nudném. Tak sobie przynajmniéj wnosiłem z częstych uśmiechów,

które jak na przekorę przypadały najczęściéj w chwili, kiedy poważny professor gadał o jakiéj krwawéj awanturze Gotów lub Wandalów. Liczba słuchaczów i głośność imienia powyżéj opisanego historyka, zrodziły w Poznaniu rodzaj zazdrości i wywołały ducha spółubiegania. Huk znalazło się zaraz professorów." — Tu oczywiście nam się zdaje, że autor miał jakąś osobistość do przyjaciół historyi, boć niepodobna namiętną miłość dla koni kłaśdź w równi z namiętną miłością dla historyi narodowéj.

Daléj donosi, że go jednak spotkały zaprosiny na obiad, i było to w Miłosławiu. Opisuje ogród, dom, a potém od pałacu miłosławskiego przechodzi na cały rodzaj polskiéj budowli; stawia jego obraz z zadumieniem — choć się urodził i wychował w powiecie Średzkim. Oczywiście jest to ustęp pisany dla Szkotów, i musiał się język polski w Szkocyi bardzo rozszerzyć, że to w polskim języku. Opis domu zwykłego wiejskiego, prawdziwie polskiego, w którym pełno spróchniałych gratów, belki tuż nad głową, a okna na zimę pooblepiane papierami, kończy się w te słowa: „Teraz dodaj do tego nasamprzód dym, swąd, kurzawę, potém ptastwo, co włócząc się po pokojach samopas, ślady swojéj bytności na każdym meblu zostawia; daléj wieloliczne owady, co pod łóżkami w śmieciach się gnieżdżą, pająki, co za obrazami i zwierciadłem, jak gdyby u siebie, swe nici spokojnie przędą; w końcu spaczoną podłogę, na któréj nie postała woda od ostatniego dyngusu i któréj brudne lice piasek tylko pokrywa — dodaj proszę to wszystko w twojéj wyobraźni, a summa da ci ideę mieszkania niejednego polskiego szlachcica."

Daléj donosi nam szanowny autor, że w Poznaniu bywał tylko w trzech domach, a najczęściéj w jednym, w którym córka okazywała najpiękniejsze wychowanie. Powiada, że mało kobiet widział w życiu tak pięknie ułożonych, tak obczytanych i tak zdrowo rozumujących o każdym nieledwie przedmiocie. Dwie tylko wady znalazł w téj pannie, to jest, że za wiele mięsza francuczczyzny i używa polskiego języka, jakby tylko przytaczała zdania polskie; a drugie, że zanadto głęboko sięga, jak na kobietę.

Nareszcie kończy: „Nie wiesz pewno, że ranne wizyty w Poznańskiém robią we fraku, gdy tymczasem na bal idzie niejeden w bótach z podkówkami, albo téż, jak ci już wiadomo, w strzeleckiéj wołoszce. Demokraci brali mię za arystokratę, gdym chciał iśdź na wieczór po angielsku w trzewikach."

Wolno, a nawet trzeba w piśmie naprawiać obyczaje narodu — ale nie godzi się tego robić z podobną płytkością. Co téż naród frak rano czy na wieczor noszony, kurtka jockeya, trzewiki lub bóty na balu interesować i naprawić mogą? Możemy ręczyć szanownemu autorowi, że niebył pomiędzy nami tak ważną figurą, aby jego trzewiki demokratów obchodzić miały; widzieli oni bardzo dobrze, że jego pojęcia polityczne niejasne i niepewne.

Zdaje się, że ten cały opis naszéj części kraju, upoważnia dostatecznie Wielkopolskę, aby obok przysłowia: to mi elegant z Mosiny, kładła zaraz: to mi cudzoziemiec z pod Środy. W ogóle radzimy redaktorowi Rozmaitości Szkockich, aby mniéj kładł na swoją osobę wagi, a aby nie ustawał w przedsięwzięciu. Niepraktycznie sobie postąpił, że nim o losie u cenzury pierwszego poszytu się dowiedział, aż trzeci wydrukował. Trudno jego pismo rozkupić, kiedy go jeszcze nie przedają. Potém nie wie, że w Polsce pocztmistrzom książkami handlować nie wolno, że księgarskie rachunki tylko roczne. My tu nie możemy odpowiadać za niepowodzenie, skoro nie podług naszych, ale podług angielskich stósunków wydawnictwo pisma urządził.

Szczęście małżeńskie. Pewien angielski kapitan, który niedawno temu powrócił z podróży na okół świata, opowiada, iż będąc na wyspach sandwichskich, usłyszał od konsula angielskiego tam bawiącego, iż królowa prosi go o odłożenie podróży, bo król znieważył ją na drodze publicznéj i bardzo pobił. Ponieważ cywilizacya na tych wyspach zaczyna się szerzyć, przeto prosi go o pomoc i stósowną zasłonę. Kapitan dowiedział się o szczegółach. Król upił się i spadł z konia. Królowa biegła mu na pomoc, ale zamiast wdzięczności, rzucił na nią kamieniem. Kobiety otaczające królowę przybyły jéj na pomoc, ale król mocniejszy nad wszystkie, porwał za włosy swą żonę królewską, i byłby zapewne ją niebezpiecznie pokaleczył, gdyby jéj nie przybyło w pomoc dwóch młodzieńców; królowa ratowała się ucieczką i znalazła schronienie u bednarza. W pałacu król wszystko niszczył i darł ze złości, a nareszcie chciał spalić własny pałac. Królowa zrazu postanowiła rozwieśdź się z swym mężem i odesłać go na wyspę Hecaheine, na któréj się urodził. Anglik nawet podjął się go przewieść na swoim okręcie, kiedy mu nazajutrz powiedziano, że para królewska zupełnie się pogodziła.

Zabawy karnawałowe w Buenos-Ayres mają coś szczególnego w sobie i są podobne do naszych wielkanocnych dyngusów. Z początku polewają z zasadzek przechodzących pachnącemi wódkami. Kobiety stojące na dachach kamienic sieją kroplami płynnemi

pozdrowienia na przechodzących. Im więcéj zbliża się karnawał do końca, tém silniéj walka oblewania rospoczyna się, używają w tym celu najrozmaitszych narzędzi i naczyń, i strumienie wody leją się na wszystkie strony, zastępując początkowe pachnidła. Oficerowie angielskiéj fregaty z przystani w La Plata, sprowadzili na ląd sikawkę okrętową i tak zręcznie nią kierowali, iż wszelka opozycya naprzeciw nim ustała i pole bitwy sami utrzymali.

MODY.

Z Lipska, dnia 6. Maja 1843.

Lipsk na tegorocznym jarmarku zaopatrzony został w najwytworniejsze artykuły mody, które industrya paryska na porę czasu bieżącą wywołała. Są tu sklepy, a mianowicie sklep mód Ohrtmana i spółki zapełniony od razu tém wszystkiém, czegoby w samym Paryżu po różnych sklepach szukać trzeba. Jest to jak gdyby królestwo strojów na wiosnę w roskosznym ogrodzie mody, w nowe i świeże barwy i wdzięki zakwitłe. Z półek i pudeł jak z dónic wyglądają różno-farbne kolory materyi, muszlinów, i wielonazwiskowych bławatów. Porozwieszane całkowite roby, tuniki, szale, mantylle, Camails etc. etc. jedno piękniejsze nad drugie, czarodziejski wywierają urok na wzrok kobiet rozpatrujących się w tym seraju strojów, co oko blaskiem kolorów, ozdobnością łudzą, i niczego im nie brak, jak aby ożyły, i z tych ozdób wyjrzały piękne twarzyczki z łabędzią szyją, i żeby poruszyły się ruchem gracyi ziemskich.

Są między témi rozlicznémi kwiatami mody i takie, które z przeszłego lata, całą zachowały jeszcze świeżość. Inne wszakże już podwiędły. Mianowicie z pewnością prawie zapowiedzieć można, że tego roku nie będą już noszone mantylle ani Camails i. t. p. Przemogły pięknością i zaćmiły je szale, w rzutach lekkich i od niechcenia zawisłych, odsłaniające kształtną kibić, i dodające wdzięków wdziękom. Niezwykle piękne, pulchne i lekkie do zdmuchnienia, są szale letnie z Bareżu i Balzoryny w najnadobniejszych mustrach. Nowe szale kaszemirowe francuzkie, na szczególny zupełnie sposób tkane, w przedziwném nawet połączeniu barw, a do tego cale nie drogie są nader piękne, i nic równego w tym gatunku, obok stawić nie można.

Materye na suknie tak są rozliczne, jak rozliczną jest kształtność i barwistość mód i kwiatów. Suknie w kratki i paski zawsze jeszcze są lubione. Bareże i Balzoryny w bogatéj rozmaitości muster, zawsze jeszcze stoją na pierwszém miejscu. Pulchna i lekka ta tkanina częścią na pół z wełny i z jedwabiu częścią z saméj wełny, przechodzi miękkością wszystkie dawne wełniane muszliny i daje najwytworniejsze tło pod kolory i wzory. Do znanych dotąd gatuuków barège cachemir quadrillé i quadrillé ecossais; przybył świeży zupełnie gatunek barège cachemire mille raies glacé, wydający się tkaniną najdelikatniejszego drócia złotego, i mieniący się złotem.

Z gatunków Balzoryny podobają się ombrée et rayée, imprimée à careaux, i renaissance — ostatni nader piękny, w zielone i białe paski, a w paskach białych kwiatowe girlandy.

Obok materyi wełnianéj Tisse de Chypre, zupełnie jest świeża Camaeleon, mieniąca się we wszystkie kolory w nitki jedwabne. Tudzież Foulard d'Orient tkanka mocna z wełny i przędzy, wyborna na suknie podróżowe. Z lżejszych bławatów jedwabnych zaleca się przed innémi Foulard damier à rayures; z ciężkich pékin grecque, pékin cannelé, a przedewszystkiém pékin camayeux, najpyszniejszy w tym gatunku. Nowe zupełnie bławaty na rok bieżący wyszły z rękodzielni francuzkich, lekkie jedwabie następujących nazwisk: Toile de Marquise, bławat glazowany przetykany nicią grubą bawełnianą, co dziwnie piękne tworzy wzorce. Tarlatan riche à dentelles w paski, w których się znajdują wzorce naśladujące koronki do złudzenia; daléj gaze tarlatan i popeline tarlatan.

Objaśnienie ryciny.

1. Krótki tużurek z szerokim wyłożonym kołnierzem, rękawy ścisło zachodzące, guziki obwiedzione we dwa rzędy. Pantalony szeroko kratkowane. Szlipa jedwabna.
2. Frak bronzowy z szeroko wyłożonym kołnierzem, złoconemi guzikami, poły szeroko zachodzące. Pantalony jasne. Westka biała bez kołnierza na jeden rząd guzików. Półkoszulcze z guzikami. Krawata biała.
3. Kapota gęsto strojna w kwiaty z girlandą przez przodek wierzchu. Suknia jedwabna mieniąca. Stanik na pół wysoki z zaokrąglonym końcem, ułożony w poprzek w gładkie fałdy. Rękawy greckie, rękawki spodnie obścisłe. Spódnik zdobny w szerokie wykrawane falbany, z przodu rozdzielone. Szal długi z muszlinu garnirowany koronkami, gors i mankiety marszczone. Parasolik.
4. Kapota jak pod Nr. 3. Pojedyncza suknia ze stanikiem gładko przystającym, i takiemiż rękawami.
5. Kapota w gęsty strój wstążkowy z długiemi podwiązkami. Suknia z mieniącéj materyi. Stanik i rękawy obścisłe, zdobne tak jak i spódnik w wąskie, wystające falbany. Przepaska z długiemi końcami. Wysokie półkoszulcze z gorsem. Mankiety na rękę spadające.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*